

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 30 września 1916. Nr. 40.

Na nowej widowni wojny.



Powitanie armii bułgarskiej przez ludność Dobrudży.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy III-ci kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	20 koron
Półrocznie	10 „
Kwartalnie	5 „

Turcy w Galicyi.

Obecna wojna to współczesna wędrówka narodów. Wśród tych milionów walczących armii, które przesunęły się choćby tylko na terenie galicyjskim, znalazły się wszystkie ludy, zamieszkujące monarchię austro-węgierską i najrozmaitsze szczepy olbrzymiego, sięgającego aż po ocean Spokojny imperyum rosyjskiego. Do liczby tych narodów, które zawierucha wojenna zagnała do Galicyi, przybyli w ostatnich czasach Turcy. Liczne oddziały armii Półksiężyca, walczącej dotychczas tak dzielnie na Bałkanach, przybyły na front wschodni, aby wspólnie z wojskami austro-węgierskiemi i niemieckiemi walczyć z naporem rosyjskim. Przejazd Turków przez Kraków i inne miasta galicyjskie wywołał naturalnie zrozumiałe zainteresowanie. Ludność oglądała mahometańskich sprzymierzeńców z zaciekawieniem, prasa zaś polska, a nawet niemiecka przypomniała proroctwo Wernyhory o odbudowaniu Polski, gdy Turek konia napoi w Horyniu.

Jak dotychczas, front, na którym walczą armie sprzymierzone, nie sięga jeszcze tej rzeki i Turcy nie mogli wypełnić proroctwa, ale zato dali już dotkliwie odczuć swą siłę Rosyanom. Kierownictwo armii rosyjskiej musiało przedewszystkiem ze swych szeregów, walczących na odcinku, ponad którym powiał zielony sztandar proroka, wycofać własnych żołnierzy mahometańskich, którzy z pewnością nie walczyliby przeciw swoim współwyznawcom.



Turcy w Galicyi: Żołnierze tureccy na dworcu w Krakowie.

Ciekawe szczegóły o życiu Turków na froncie galicyjskim podaje za zezwoleniem wojennej kwatery prasowej wiedeńska „Arb. Ztg".

Według tej relacyi wojska tureckie stoją obecnie na froncie w odcinku Brzeżan i należą do związku armii hr. Bothmera. Z grupami sąsiedniemi utrzymują one wzorowe koleżeństwo, ale odróżniają się wybitnie nie tylko swem umundurowaniem, ale także, i to przedewszystkiem, swym trybem życia. Zupełnie inny, obcy i daleki świat odnajduje się, przechodząc do ich stanowisk. — Jest to kawałek wschodni. Uwydatniają to przedewszystkiem praktyki religijne tureckich żołnierzy.

„Gdy nadejdzie godzina — pisze korespondent — w której muezyn z minaretu zacznie śpiewnie głosić wielkość Boga i jego Proroka, Turek wydobywa ze swego pakunku mały dywanik, kładzie go na ziemi w kierunku wschodnim i pochylając się głęboko nad nim, odmawia żarliwie modlitwy.

Gdy Turek jest wolny od służby, to choruje z nudów i czas ten stara się wypełnić w oryginalny sposób: oto z nadzwyczajną cierpliwością wyrzeźbia on nożem z miękkiego kamienia najrozmaitsze przedmioty. Zwykle są to cygarniczki, a najczęściej czwo-



Legiony na polu walki: Budowa ziemianek na nowych pozycyach. (C. B. W. — N. K. N.)



Grób poległych żołnierzy na Wołyniu

Ze wschodniego frontu:



Zasieki na Wołyniu.

rogranne kostki, w których ryje swoje nazwisko i potem kostkę taką umieszcza w rowie strzeleckim, tam gdzie walczył, na pamiątkę.

Obiad jedzą wojska tureckie wieczorem. Składa się on głównie z baraniny, którą Turcy przenoszą nad wołowinę. Aby zrobić im przyjemność, nasze zakłady aprowizacyjne zadały sobie dosyć trudu, aby z różnych stron nasprowadzać im baranów.

Jak wiadomo, Turcy nie używają alkoholu, jednak oficerowie uświadomieni zgrzeszą czasem przeciw koranowi. Ale niespodzianką jest, że w rowach tureckich nie ma wcale czarnej kawy, napoju, który dla naszych żołnierzy jest wprost niezbędny, a który przecież jest charakterystyczny dla wschodu. Przyczyna zjawiska leży w tem, że mieszkaniec Azyi Mniejszej zaledwie trochę tylko zna kawę, a kult jej uprawiają tylko miasta na wybrzeżach.

Namioty Turków, a raczej „chaty“, budowane przez rezerwy w kształcie namiotów z gałęzi i gliny, wyszczególniają się swem wewnętrznem urządzeniem, to jest nie posiadają żadnego urządzenia. — Nie ma w nich stołków i ławek, ani stołów. Turek nie potrzebuje stołka, bo lubi siedzieć w kuczki. A stoły są zbyteczne, gdyż nawet czynności kancelaryjne załatwia pisarz w ten sposób, że kładzie się na brzuchu przed swemi książkami i w ten sposób maluje arabskie litery.

Szczególniejszą przyjemność sprawiają żołnierzom tureckim ich usiłowania, aby się porozumieć ze swymi niemieckimi kolegami. Posługują się oni przytem bardzo plastycznemi metodami, których rezultatem jest, że nauczą się jako tako kilku niemieckich wyrazów, a w zamian za to wyuczą Niemców kilku tureckich wyrażeń.

Niewątpliwie wojska tureckie, które przybyły do Galicyi, należą do najlepszych w armii tureckiej. Pochodzą one prawie wyłącznie z Azyi Mniejszej, z drobną tylko przymieszką Syryjczyków i Arabów. A wszyscy mają już bogate doświadczenie wojenne, gdyż przebyli długie miesiące walk pod Ari Burnu, powstrzymując tam strasznego przeciwnika. Gdy dziś wspominają działanie angielskich armat okrętowych, lub uderzenia Australczyków, z którymi tam walczyli, to obecne walki w Galicyi wydają się im lżejszemi, a wojska rosyjskie mniej groźnym przeciwnikiem“.



Legiony na polu walki: Obóz Legionistów w lesie. (C. B. W. — N. K N).

Ze wschodniego frontu.

Główną, jeśli nie jedyną zaletą armii rosyjskiej jest... upór. Pomimo niepowodzeń, klęsk i olbrzymich strat pędzą szeregi rosyjskie na śmierć lub... do niewoli, a po jednej nieudałej ofenzywie rozpoczynają drugą — z tym samym naturalnie skutkiem. Choć gwałtowna, zapowiadana od tylu miesięcy ofenzywa czerwcowa, poza lokalnymi sukcesami, nie stojącymi w żadnym stosunku do olbrzymich strat, nie odniosła bynajmniej zamierzonego celu, Rosyanie znowu próbowali daremnie szczęścia po wypowiedzeniu wojny przez Rumunię... Ale i nowy ten sprzymierzeniec nie potrafił przechylić szali zwycięstwa na ich stronę. Pomimo zaciętych walk, jakie wywiązały się na granicy rumuńskiej i w Siedmiogrodzie, opór armii sprzymierzonych na Wołyniu i w Galicyi wschodniej bynajmniej nie osłabł. Wszystkie ataki Rosyan przyniosły im w rezultacie tylko hekatomby ofiar. O przebiegu tych ostatnich wysiłków rosyjskich, które znowu skończyły się fiaskiem, komunikat kwatery prasowej podaje następujące szczegóły:

„Nowa ofenzywa rosyjska, przygotowana od kilku tygodni — zwłaszcza na Wołyniu, przy użyciu bardzo silnych rezerw, prawie na całym froncie od Prypeci aż po Dorna Watrę, po dwutygodniowych już zapasach stanowczo stanęła. W mniemaniu, iż mocarstwa centralne, z chwilą wmieszania się Rumunii do wojny, znaczne siły przesunęły dla obrony Siedmiogrodu, użyli Rosyanie wszystkich rezerw, jakiemi tylko rozporządzali, aby przełamać front sprzymie-



Zbombardowana chata na błotach wołyńskich.

Ze wschodniego frontu:



Zburzony most i zasieki na Wołyniu.



Ze wschodniego frontu: Austryacki sanitarny korpus automobilowy na Wołyniu

rzonych przynajmniej w kierunku jednego ze swych celów wojennych, jakimi są: Włodzimierz Wołyński, Kowel i Lwów. Nadzieje okazały się płonne. Po pierwsze: stawiające opór wojska austryacko-węgierskie, niemieckie i tureckie okazały wyższość bojową, w niektórych punktach nawet większą, niż z początkiem ofenzywy rosyjskiej, a powtóre: wojska sprzymierzone nie były bynajmniej na żadnym odcinku frontu pod jakimkolwiek względem znienacka zaskoczone. Ogólny atak rosyjski rozbił się, przynosząc atakującym jedynie ogromne straty, a Brusiłow widział się zmuszonym znów do przerwy w walkach.

Jedynie południowe skrzydło jen. Leszyckiego w Karpatach lesistych prowadzi jeszcze ofenzywę z dawną zaciętością. Widocznie ta część frontu rosyjskiego otrzymała najliczniejsze posiłki w rezerwach i materyale wojennym, aby najważniejszy odcinek frontu wschodniego w Karpatach lesistych dostać w swe ręce, choćby za cenę największych strat. Dopóki bowiem wojska sprzymierzone będą mieć w posiadaniu obszar górski, położony między Bukowiną a Galicyą z jednej, a Węgrami z drugiej strony, dopóty niema mowy o oddziaływaniu wypadków na froncie rosyjskim na front siedmiogrodzki i naodwrót. Karpackie pozycye wojsk sprzymierzonych są równocześnie punktem, około którego poruszają się oba fronty nieprzyjacielskie, nie mogąc dotychczas oddziaływać na siebie wzajemnie. Dla tego to ataki rosyjskie, na ten odcinek frontu skierowane, nie słabną mimo wielu dotychczasowych niepowodzeń.

Rosyanie podejmowali także ataki na pozycye wojsk austryackich i niemieckich na przestrzeni 50 klm. od obszaru na zachód od Mołdawy aż po 1900 m. wysokości szczyt pasma Czarnahorskiego, Smotrec. Atak ten rosyjski wspierali Rumuni atakiem na wschód od Dorna-Watry. Na 1536 metrów wysokim szczycie Baba Ludowa, front wojsk sprzymierzonych został nieznacznie przesunięty ku zachodowi, bezskutecznym jednak okazał się zarówno nieprzyjacielski ogień huraganowy, jak osiem ataków na Smotrec, które już częściowo zostały odparte ogniem działowym i trzema kontratakami.

W Galicyi północno-wschodniej i na Wołyniu wojska sprzymierzone podjęły kilka skutecznych akcyj partyzanckich na przedpolu. Znaczne sukcesy osiągnęły wojska austro-węgierskie, pruskie i bawarskie nad Stochodem; zdobyły one po przygotowaniu działowem nieprzyjacielski przyczółek mostowy koło Zarzecza, pojmały 2542 jeńców i zdobyły 17 karabinów maszynowych. Równocześnie kawalerya bawarska koło Rudki Czerwiszcza spędziła wojska rosyjskie z zachodniego brzegu Stochodu; obecnie w większej liczbie utrzymują się Rosyanie na lewym brzegu Stochodu jedynie w kolanie Stochodu koło Kaszówki".



Odznaczenie przeora O. O. Bonifratrów: O. W. Uhlrich przeor O. O. Bonifratrów w Krakowie



Legiony na polu walki: Legioniści w płonącym lesie.

JÓZEF LASOŃ.

LEGIONY NA WOŁYNIU.

Fragmenta.

REDUTA...

Batalion schodzi z pozycyi. Kwietniowy, słoneczny dzień. Z rowów dobiegowych wychodzą szare postacie żołnierskie, formują się w kolumnę. Ubrania przyniszczone, twarze wesołe, napuszone łobuzerstwem, ożywione w dyskusyach.

Właśnie pora obiadowa.

Usmoleni kucharze, podobni z twarzy i ubrania do kominiarzy w urzędowych strojach, zajechali pośród świstu kul karabinowych i pocisków armatnich do odcinka. Odkryte kotły dymią się, woń strawy roznosząc wokoło.

Chytre oko „relutońskie“ wywąchało zdaleka zawartość kotła. Stłumione szepty między sobą, nagle cały batalion zaczyna beczeć:

— Be...b...be...

Rozchodzi się daleko echo beczenia. Placówki rosyjskie rozpoczynają palbę karabinową, sądząc, że zapowiada się na szturm. Mają przekonanie, że to jakieś świeże wojska zajęły odcinek, które zamiast „hurra“ używają okrzyku „be, be, be“ przy szturmie.

Batalion beczy przeciągle. Kucharze zatykają uszy, psotnicy bowiem najsilniej krzyczą nad uchem kucharzy.

— Be, be, be!...

— Znowu baranina! — krzywią się usta żołnierskie.

Kręcą nosami nad kotłami, przymawiając czułe słówka do kucharzy.

— Ojciec! — zwraca się jeden do starego kucharza ze „Schweiz“ — Trzy porcye.

— Dla kogo trzy?

— Dla mnie, dla Dudzińskiego i dla Władka!

— A jak ty się nazywasz? — pyta podejrzliwie kucharz, patrząc na żołnierza.

— Marcin Siarka!

— A ojciec twój?

— Karol Dudziński!

— To ty Władysław Dudziński!

— A no tak!

— To ty, szelmo, chcesz trzy porcye! Dla siebie, dla Dudzińskiego i dla Władka!

Salwa śmiechu, nabrany kucharz, groźnie potrząsa wielką warzechą, zabiera się do okładania sowizdrzała. Ten już zdołał wycofać się z zagrożonego terenu z pełną menażką rosołu i baraniny i salutując zdaleka, krzyczy do kucharza:

— A pamiętajcie tam o kolacyi. Dla mnie, dla pana Dudzińskiego i dla pana Władka.

U podnóża piaszczystego wzgórza rozsiadł się batalion spożywając obiad. Przechodzi adjutant batalionu, najpoważniejsza osoba w batalionie, z długą czarną brodą. Lubiany przez żołnierzy, mimo surowości, z drugiej strony oficer przykładny, ojcowski dla żołnierza.

— Panie adjutancie! Be...be... be..

— Cóż chłopcy, słychać?

— Ba...ra...ni...na! — przeciągle ryczą dowcipnisie.

— Zdrowa!

— Kiepska!

— Czemu?

— Mało!

— Słonia zjedlibyście, jeszczeby wam mało było — śmieje się dobrotliwie adjutant.

— Słonia i konia pana adjutanta.

Otaczają go wokoło. Rozmowa bezwiednie wchodzi na tory polityczne. Setki pytań skierowanych do adjutanta w kwestyi polskiej. Niema dnia, ani godziny, w którejby żołnierstwo nie rozmawiało o ojczyźnie. Umysły wprawdzie przez wojnę nie wykształcały się, ale zato dusze coraz bardziej w patryotyzmie się hartowały. „Ten żołnierz bez ojczyzny“ — tam, w śmiertelnej walce z wrogiem, żyje tylko ukochaną Sprawą, dla której walczy — powiedział przewielebny ksiądz biskup Bandurski:

— Nie patrzcie na ich mundury, patrzcie na ich rany!

Gdyby można zamiast na rany spojrzeć na dusze żołnierstwa polskiego, zobaczylibyśmy tam Ojczyznę. Wymarzoną, krwią okupioną; ujrzelibyśmy tęsknotę przeogromną, żądzę skupienia całej Polski pod jednym sztandarem: Czynu z bronią w ręku, przez który „żołnierz zdobędzie ojczyznę“.

Roziskrzone oczy wpatrują się w adjutanta. — Opowiada o przyszłej ojczyźnie. Jest cicho, wiatr łagodnie szumi borami, czasami zatyrkocze karabin maszynowy, z świstem przelatują kule ponad głowami żołnierzy. — Nikt nie zwraca na to uwagi, wsłuchują się w słowa adjutanta. Rosną i potężnieją serca. Beznadziejność znika, jak szron pod ciepłotą promieni słonecznych.

Jeszcze słów kilka, adjutant odchodzi do telefonu. Żołnierze komentują słyszane słowa, kilku wyciąga z kieszeni wczorajszą pocztę, gazety, zagłębiają się w czytaniu. Tam w okopach koledzy czuwają, placówki strzegą wejścia, bezpiecznie przeto.

Pora obiadowa skończona. Żołnierze pod kierownictwem szarż zabierają się do pracy. — Służba trwa na stanowiskach, wolni od służby zajęci przerozmaitą pracą: umacnianiem zasiek, budową schronisk przed pociskami artyleryi, ustawicznem wzmacnianiem okopów na porządku dziennym.

Pod górą część żołnierzy robi podkop pod placówkę rosyjską. — Robota wre w przyspieszonem tempie, odkryto bowiem, że Rosyanie, a właściwie pionierzy francuscy podkopują się pod nasz odcinek; należy ich ubiedz, podkopami krzyżowemi zamknąć dalszą drogę, wysadzić w powietrze. Do tego służyć będzie dopiero co przywieziony tysiąc kilogramów ekrazytu.

— Będzie wybuch Wezuwiusza — szepcą między sobą.

Dzień upływa spokojnie. Po południu zaryczały trochę baterye rosyjskie i nasze, nastała cisza.

Dość gorąco; znużenie ogarnia żołnierzy. Placówki przez okienka strzelnicy obserwują nieprzyjaciela, pogotowie czuwa przy karabinach.

Placówka rosyjska w odległości ośmdziesięciu kroków na wzgórzu piaszczystem. Dzieli nas wąwozik mały, przegrodzony polami minowemi, zasiekami kolczastemi, do których przywiązano puszki alarmujące i kartacze.

Cisza. Nagle z okopu rosyjskiego dobiega wołanie:

— Ty, pan Poljak!

Placówce rosyjskiej nudzi się, usiłuje zawiązać rozmowę.

— Ty, pan Poljak!

Żołnierska, grubiańska odpowiedź dobiega Moskala. Krzyczy jeszcze głośniej:

— Ty pan... Ty durak!

Salwa karabinowa zagłusza rozmowę. — Z za okopu rosyjskiego od placówki, najdalej wysuniętej wzdłuż okopu, wysuwa się biało czerwona chorągiewka, z maleńkim manekinem, przywiązanym do niej. Za każdem pojawieniem się chorągiewki chichot głośny daje się słyszeć wśród Moskali.

Placówka przyczaja się. Czasami, na sekundę, pojawia się ręka sołdata rosyjskiego, trzymająca wspomnianą chorągiewkę. Odbywa się polowanie. Z naszej strony cisza, niczem nie zamącona. Nagle strzał, przekleństwo rannego w rękę Rosyanina, chorągiewka opada na ziemię.

Ranny żołnierz klnie i jęczy z bólu.

— A czorty!

Przyszły świeże wojska. Nie wiedziano kto, jaki pułk. Żołnierze chcieli się przekonać, czy to rzeczywiście kozacy spieszeni naprzeciw nich stoją.

Doktor Wertheim zaczyna rozmowę.

— Ty, kozak, pokaż głowę!

— Budiesz strelat'?

— Nie będziemy strzelać! — odpowiada po rosyjsku doktor.

Ale placówka rosyjska nie ufa. Odmawia, gdyż onegdaj także namówili Legioniści do pokazania głowy, a potem strzelali. Wreszcie zirytowany doktor krzyczy:

— Ty musisz być kozak, tchórz, bo piechur nie bałby się i wystawiłby głowę.

— Ja kozak, tchórz! — oburza się Rosyanin i błyskawicznie wyskakuje na okop.

Wieczór się zbliża. Zmieniona placówka przyniosła ze sobą organki ustne. Ktoś poddaje myśl, ażeby zagrać kozaka. Legionista wygrywa ochoczo kozaka, słychać tupot butów w okopie rosyjskim. To placówka rosyjska tańczy kozaka przy dźwiękach ustnej harmoniki legionowej.

Nadchodzi noc. Teraz dopiero rozpocznie się walka pozycyjna. Czasami całą noc nieprzerwanie trwa palba karabinowa, rakiety oświetlają linię, nierzadko miesza się z tem artylerya, miotacze min, granaty ręczne, słowem rozgaworzyły się wszelakie gatunki broni.

I tak upłynął dzień i noc w walce pozycyjnej nad Styrem!

PO BITWIE.

Bataliony wracają z bitwy z pod Kołek. Długi wąż żołnierski przedziera się przez piaski, skręca w szumiący las, wreszcie dociera do drogi, budowanej na bagnach.

Postrzępione, poniszczone mundury, przysmolone twarze, opalone od słońca. Gorączka spiekła usta, trudy ściągły policzki. Roziskrzone oczy żołnierzy błyszczą ożywieniem.

Za nimi rydwan wojenny, ciężko naładowane wozy z potrzebami żołnierskiemi: prowiantami, amunicyą. Skaczą koła wozów po wyboistej drodze, dudnią, brzęczą.

Upał lipcowego dnia. Pochyliły się barki żołnierskie pod ciężarem plecaków, ramię strudzone karabinem. Cicho, poważnie, milcząco kroczą szeregi.

Jakiś treniarz półgłosem nuci, popędzając konie:

I tak ci gada
Druga Brygada.

Kończy się las. Widać wioskę na wzgórzu, błyszczącą kopułę cerkwi. Pośród szeregów ożywienie.

— Maniewicze wieś! — mówi żołnierz do kolegi.

— Będzie postój! — ten mu odpowiada.

Przy wejściu do wsi, z przemęczonych gardeł wyrywa się piosenka legionowa. Nie można sobie inaczej wyobrazić żołnierza Legionu, jak bez piosenki. Każda wioska, ba, każdy domek musi być powitany piosenką.

Oto wyszli ze straszliwego huraganu ognia, jeszcze w oczach ich tkwi smutek poległych kolegów, ostatnie pożegnania i jęki konających — a tu już piosenka wypływa:

„Jakem jechał bez wieś,
Muzyka grała,
A moja Kasieńka, a moja Kasieńka
W okienku stała, ha... ha... ha...

Z miłością patrzą oczy oficerów na swoich żołnierzy. Żołnierz z podziwem patrzy na oficerów, pamięta szturm, atak, każdą wyprawę, gdzie na czele ten i ów dowódca stał. Obowiązkiem komendanta jest prowadzić oddział, ale nie narażać się na każdym kroku. Oto szeptają piękne w bohaterstwie słowa pułkownika Januszajtisa:

„Dla Legionistów polskich niema w tem miejscu bagna! Legioniści naprzód!“

I rozważają, że mimo rany nie zeszedł z placu boju, póki bitwa nie została ukończona.

Oto za oddziałami, kuleje, idzie świetny typ oficera polskiego, podporucznik Romaniszyn. — Pierś ozdobiona kilkoma medalami. Okrągła, dobrotliwa twarz, uśmiechnięta. Niebieskie oczy figlarnie patrzą na świat. Z rozmachem opowiada o przeprawach, które ostatnio przeszedł. Ktoby chciał zbadać historyę każdego odznaczenia tegoż oficera, dowiedziałby się o niejednym zadziwiającym wypadku.

Kroczy przygarbiona postać doktora pułkowego Stefanowskiego. W drodze prowadzi rozmowę z chorym, dopytując się o cierpienia. Idzie spokojny, przemęczony po nadzwyczaj uciążliwej pracy, zadowolenie usiadło na ustach. Wokół niego „łapiduchy“, jak żaki szkolne, kroczące obok profesora. Śmieją się z pewnego rannego, który, niesiony na noszach, na zapytanie, co mu jest, rozpaczliwym głosem oświadczył lakonicznie:

— Zabitym!

Niepodobna wyliczyć imion tych wszystkich uczestników, długiego szeregu nazwisk oficerskich, niosących zaszczyt ojczyźnie. — Sylwetki ich znikają z przed oczu, kroczą poważnie, dumni ze swoich żołnierzy, zadowoleni z bitwy, ze spełnienia obowiązków.

Prowadzi pułk, a właściwie dwa bataliony kapitan Orlik. Ranny lekko, pozostaje jednak w szeregu. Tym ludziom wydaje się, że ranę dość jest raz opatrzyć i jakoś sama się zagoi.

Długi wąż szarego żołnierstwa wlecze się po piaskach i bagnach powoli, czasami przystaje na kilka minut, oddycha głęboko.

Dziś tu — a jutro tam!

Los to żołnierski, bezdomny i wiele poświęcenia i hartu trzeba wydobyć, aby nie tylko znieść to wszystko — ale być szczęśliwym.

Już wiadomy kierunek marszu.

— Idziemy prosto do ognia!

— Nie, jako rezerwa! — sprzeciwiają się głosy żołnierskie, chcące wszystko wiedzieć naprzód.

Nareszcie dotarli do wioski Gałuzi. W kilku minutach zajęto kwatery, rozpoczyna się oczyszczanie mundurów, pranie bielizny, mycie ciała, ulepszanie kwater. Dopiero wieczorną porą po chatach chłopskich skupiają się towarzysze broni; płyną z ust zebranych fragmenta bitwy, przeplatywane wesołymi epizodami, przesmutne nekrologi poległych.

— Niech żyje Polska! Niech żyją Legiony! — wieleż to razy było ostatniem słowem trafionych kulą, lub umierających.

Na linii rozpoczyna się muzyka. Grzmią przeciągle baterye rosyjskie salwami, biją na okopy i wioskę. Zapowiada się na walkę upartą, Moskale koncentrują siły.

— Ostre pogotowie — w nocy idziemy na pozycye — przewidują niektórzy.

Ale to nie zniechęca nikogo, owszem podnieca. Nie nawykli do stania w rezerwie.

— Idziemy na pozycyę! — cieszą się, mimo że zmęczenie po dwutygodniowych walkach pod Kołkami ogromne.

Ale bo to już takie serce żołnierskie.

Wspominają o Bessarabii, Bukowinie, Karpatach, porównują tamte walki z obecnemi.

I gdy druga brygada przeniesiona została na Wołyń, żołnierz w pierwszych dniach walk musiał w bagnie i deszczu pod gołem niebem przebywać. Zwrócił się wówczas brygadyer Kittner do żołnierzy:

— Widzicie, chcieliście koniecznie na Wołyń, a, prawda, tam było lepiej!

— Nie, panie brygadyerze! — brzmiała odpowiedź żołnierska — Tu lepiej!

— Dlaczego?

— Bo tu polska ziemia. Lepiej żyć i umierać! I taką odpowiedź dadzą zawsze!

— — — — — — — — — — —

Bum... bum... bum... grzmią straszliwie armaty, świecą się oczy żołnierskie, ręce zacisnęły silniej karabin. Niema obawy śmierci — jest w szeregach pragnienie zwycięstwa.

Schodzą z jednej pozycyi z piosenką, idą na drugą, nie upadając na duchu.

I to, o czem myślą te rzesze żołnierskie, ujawnia się w codziennych rozmowach, w ogromnych tęsknotach, w okrzyku, wydartym z konających ciał:

— Niech żyje Polska!

Szara, kochana piechota!

M. J. MIGOWA.

BYWAJ DZIEWCZĘ ZDROWE...

Chyliły się wiatrem kołysane łany zbóż dojrzewających — kiedy się żegnali.

Szli drożyną wśród zbóż tak wysokich, że chwilami znikali w tym lesie bielejącego żyta i płonącej pszenicy.

Słońce krzesało gorące czerwonawe połyski w złotobronzowych, jak dojrzała pszenica, warkoczach dziewczyny, przeglądało się w jej modrych, jak bławatki, oczach i całowało usta purpurowe, jak kwiaty maku, których sporą wiązankę niosła w ręku.

Czerwone maki odcinały się krwawą plamą na bieli batystowej sukienki, opływającej w prostych, wdzięcznych fałdach szczupłą, nierozwiniętą jeszcze kibić dziewczęcia.

A on szedł obok niej niewiele starszy z gładką, bezwąsą, różową twarzą pacholęcia i ciemnemi oczyma, w których gorzał już ogień młodości „górnej pochmurnej"...

Miał na sobie siwy mundur, a w ręku obracał czapkę ze srebrnym orzełkiem.

Żołnierzyk — młodziutki — jakby na żart, dla zabawki w ten strój marsowy przyodziany.

— O! Jak to dobrze, że przyjechałeś, Tadziu — mówiła dziewczyna.

— Czyż mógłbym nie pożegnać się z tobą, Maryśko, czyż mógłbym odjechać, nie widząc ciebie... Wszak Bóg wie tylko jeden, kiedy i czy się zobaczymy...

Maryśka smutnie opuściła główkę.

— Dlaczego idziesz? — szepnęła — Możesz przecież zostać...

— Nie mogę, muszę iść! Maryśko... Nie czas mi teraz siedzieć nad książką, kiedy mnie Polska woła... Po nocach spać nie mogę... Nad łóżkiem mojem wisi portret pradziada, który walczył w Legionach Napoleońskich i zdaje mi się, że portret ten spogląda na mnie z wyrzutem, że szepcze: idź, idź, nie wahaj się, idź walczyć za Polskę, tak jak my walczyliśmy... A kiedy czytam w dziennikach wzmianki o czynach bohaterskich naszych Legionów, krew we mnie kipi... Ja muszę tam być z nimi!

— Mój ojciec mówi... — zaczęła dziewczyna.

Chłopiec gwałtownym ruchem zasłonił sobie uszy rękami.

— Nie mów, nie powtarzaj, nie chcę tego słyszeć!... Twój ojciec jest trzeźwy, rozsądny!... Taki straszliwie trzeźwy i rozsądny!... Ja wiem, może w tem, co mówi on i ci, którzy podobnie myślą, jest coś słuszności. Ale ja tego słyszeć nie chcę... Nie chcę rozumować, ważyć, roztrząsać, porównywać, tylko iść i bić się!... Trzeba światu pokazać, że Polacy są jeszcze, trzeba szukać drogi do Polski!... A ja wierzę, że z tej krwi naszej Ona powstanie, by żyć!

W słowach jego było trochę deklamacyi młodzieńczej, ale z głosu i spojrzenia biła moc zwycięska wiary w lepszą przyszłość i zapału, który się do czynu rwie.

Dziewczyna patrzyła na niego, jak oczarowana. Takim nie widziała go jeszcze.

W jej oczach mały Tadzio, towarzysz jej zabaw dziecinnych, przeistaczał się w świadomego swej woli młodzieńca, w promiennego rycerza wolności.

Jakże mu pięknie w tym siwym mundurze, z temi słowami zapału na ustach.

Wyciągnęła ku niemu ręce, pełne czerwonych maków.

— O! Tadziu, jak pięknie mówisz!... Ja wierzę, że tak będzie, jak przepowiadasz!... Och! Czemuż nie mogę iść z tobą!

Zatrzymali się. Chłopiec zatopił wzrok w jasnej twarzy towarzyszki.

— Maryśko, kocham cię! — powiedział prosto, szczerze, bez wstępów i omówień.

Ona zadrżała, ale nie odwróciła oczu, nie odsunęła się.

On mówił dalej:

— Musiałem ci to powiedzieć... Kto wie, kiedy się zobaczymy... Maryśka, czy nie masz mi nic do powiedzenia?

— Tadziu i ja ciebie kocham bardzo, bardzo — szepnęła z tą samą dziecinną prostotą, ale w głosie jej zabrzmiał gorący ton kobiecego serca, które się zbudziło.

Splotły się ich ręce w długim, gorącym uścisku, a świeże, jak kwiaty wiosenne usta, złączyły się pierwszym pocałunkiem...

Gdzieś z oddali z pastwiska dobiegł przeciągły, smętny śpiew... To pasterka przy bydle śpiewała piosenkę, której nauczyła się snać od żołnierzy:

„Pójdziemy z okopów na bagnety,
Pójdziemy z okopów na bagnety,
Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje,
Ale nie ty! .. Ale nie ty!.."

— — — — — — — — — — — —

Maryśka wsunęła rękę pod ramię swego towarzysza i tak przytuleni do siebie, zbliżali się zwolna do białego domku, który widniał wśród gęstych, bogato dojrzewającym owocem obciążonych drzew sadu.

Na progu stała matka i schmurzonemi troską oczyma spoglądała na zbliżającą się młodą parę.

Zimny głos rozsądku i rozwagi szeptał jej...

— Marysia taka młodziutka, a on dzieciak, gimnazyum jeszcze nie skończył, a teraz te Legiony... wojna... i po co ta miłość?! Dziewczyna najpiękniejsze lata zmarnować może w tęsknocie... w cierpieniu...

A słońce słało złote blaski na pochylone ku sobie głowy młodych, jakby błogosławiąc ich miłości.

Głos rozsądku zamilkł, przemówiło serce...

Matce zrobiło się żal, tak bardzo żal tych dwojga pięknych zakochanych dzieci, które się widzą może po raz ostatni...

Z przyjaznym uśmiechem, z tkliwem macierzyńskiem spojrzeniem witała Tadzia i zapraszała go do mieszkania.

Na widok wchodzącego młodego Legionisty starszy mężczyzna o twarzy poważnej, zamglonej w tej chwili jakąś myślą niewesołą, odłożył gazetę.

— No cóż, panie Tadziu, idziemy do „Legionów"?

— Tak! Bić się o Polskę!... Zobaczy pan, że wywalczymy!

Gospodarz nie odpowiedział nic. Położył rękę na ramieniu chłopca i spojrzał mu w roziskrzone zapałem oczy długo i głęboko.

* * *

Minęły tygodnie. Tadzio z kompanią swoją wyruszył w pole, a dla Maryśki zaczęły się dni oczekiwania i tęsknoty.

Dziewczyna okazywała nieznaną u niej dotychczas gorliwość w czytaniu gazet. Z bijącem sercem, z gorączkową niecierpliwością chwytała za dzienniki i chciwie szukała w nich artykułów i wzmianek o „Legionach".

Każda, najkrótsza choćby notatka była dla niej promykiem światła, drogowskazem, który wieścił: Tam on jest, tam walczy!

Tadzio z początku pisywał często, prawie codziennie krótkie, serdeczne kartki — ale od pewnego czasu zabrakło tych gońców różowych...

W ostatniej kartce Tadzio uprzedzał:

„Nie dziw się, gdybym przez jakiś czas nie mógł pisać... Na naszym odcinku zaczynają się żywe operacye wojenne".

Przestał pisać. Dzień mijał za dniem, a kartki nie nadchodziły.

Stary listonosz wiejski zdaleka już potrząsał przecząco głową, uprzedzając codzienne zapytanie dziewczęcia:

— Czy jest co dla mnie?

— To nic! — pocieszała się Maryśka — Zaczęły się operacye, więc pisać nie może, ale kiedy się skończą, napisze zaraz, napewno — mój bohater, mój rycerz, mój drogi, drogi...

* * *

Nad Styrem noc.

Srebrzystą wstęgą wije się rzeka, lśni w bladem świetle księżyca i szemrze tak łagodnie, cicho, sennie, jakby z jej wodami nie zmieszała się ni jedna kropla krwi ludzkiej...

Jaskrawe światło reflektorów rozwidnia okolicę, ciężkie działa grzmią pieśń swoją straszliwą, ogłuszającą...

Przeszła tędy zagłada... Gęsto leżą żołnierze obok siebie.

Niektórzy jęczą, wołają pomocy, ten i ów rzuca się w drgawkach śmiertelnych — inni spoczywają cisi, spokojni — na zawsze...

W tem wiernem druhów gronie leży młody Legionista, jeden z najmłodszych... Zastygłe, ciemne oczy szklistą, trupią źrenicą spoglądają ku niebu.

Usta zwarte zimną pieczęcią śmierci nie otworzą się już, by rzucić światu wezwanie: „Jeszcze nie zginęła!..."

Bagnet poległego czerwony od krwi, a on śpi snem wiecznym, bojownik wolności, który wierzył, że ofiarą młodego życia skruszy kajdany niewoli...

— — — — — — — — — — — —

Polskie i obce dzienniki wieściły światu chwałę polskich Legionów, głosiły o „bohaterskiem" „ofiarnem" zachowaniu się wobec nieprzyjaciela...

Na łamach pism obcych, które dotychczas rzadko lub niechętnie wspominały imię Polski i Polaków, pojawiły się słowa hołdu i uznania dla polskich żołnierzy ochotniczych, szafujących krwią swoją równie ofiarnie, jak pradziadowie ich — ci z pod Wiednia i ci z pod Somosierry...

I roześmiało się radością i dumą niejedno serce polskie, że o Polakach „znów na świecie głośno" i zapłakała niejedna matka, która miała syna w Legionach...

W duszy młodej Maryśki nie było jeszcze miejsca na smutek i zwątpienie. Zanadto kochała życie, by myśleć o śmierci.

Wiadomości o bohaterskich walkach Legionów napełniały ją zapałem i dumą.

— Mamo, tatusiu! On tam był, on tam walczył, mój Tadzio! Czytajcie, czytajcie, co tutaj piszą o nich! O! Ja go widzę przed sobą, jak idzie do ataku z myślą o Polsce... A może on i o mnie wspominał wtedy, mamusiu... Teraz napisze już, napewno napisze... Dziś, może jutro, może za tydzień przyjdzie list od niego... Opisze nam wszystko, co przeżył, opowie... A potem wróci, wróci do mnie bohaterem!...

Oczy dziewczyny promieniały uniesieniem.

Matka uśmiechnęła się jakoś smutnie, boleśnie i odwróciła oczy, aby ukryć łzy.

Ojciec oparł głowę na ręce i dumał.

Maryśkę zatrwożyło to milczenie rodziców, ogarnięta jakimś nieokreślonym niepokojem powtórzyła:

— Ale od niego przyjdzie już wkrótce wiadomość, przyjdzie na pewno, prawda tatusiu?...

Ojciec spoglądał gdzieś ponad głowę córki.

— Przyjdzie, dziecinko... przyjdzie... przyjść musi...

Na nowej widowni wojny.

Nowa faza wojny przeniosła punkt ciężkości tych światowych zapasów na Bałkany. Wojska niemiecko-bułgarskie kroczą zwycięsko poprzez Dobrudżę — ostremi konturami granic. Leży ona między dolnym Dunajem i Morzem Czarnem. Północna granica zaczyna się naprzeciw ujścia Prutu, biegnie wzdłuż Dunaju aż do rozgałęzienia się jego dopływu Kilia i kończy się ujściem Kilji do Morza Czarnego. Po- Góry te biegną na południe i przechodzą następnie w góry lesiste Babadagh i zniżają się coraz więcej ku powierzchni morza.

Co się tyczy świata roślinnego, to rzeczywiście dawniej miała Dobrudża charakter czysto stepowy.





Punkt obserwacyjny na drzewie. **Legiony na polu walki:** Tren w lasach wołyńskich. (C. B. W. — N. K. N.)

gdzie może być przypieczętowany los nowego sojusznika koalicyi — Rumunii. Ta nowa widownia wojny w ostatnich latach stała się już głośną. — Dobrudża przecież jest kością niezgody w stosunkach bułgarsko-rumuńskich i już kilkakrotnie była powodem zawikłań wojennych.

Po raz ostatni po skończeniu wojny bałkańskiej. Wtenczas udało się Rumunom zagarnąć część bułgarskiej Dobrudży. Bułgarzy nie mogli przeboleć straty tego, to też z niesłychanym entuzyazmem zwrócili się obecnie przeciw rumuńskiemu wrogowi.

Położenie geograficzne Dobrudży odznacza się

łudniowa granica biegła przed ostatnią wojną bałkańską wzdłuż drogi Silistrja — Mangalin. Obecnie tworzy ona prostą linię między Tutrakanem nad Dunajem i Balczykiem nad Czarnem Morzem.

Dobrudżę uważają niesłusznie za jednolity obszar stepów, gdyż w rzeczywistości daje się ona podzielić na kilka pasów geologicznych. Na lewo i prawo od niziny Karaso rozprzestrzenia się bezleśna wyżyna, która dosięga 200 metrów wysokości ponad poziomem morza. Wzdłuż dolnego Dunaju, od Macin do Tulcea, mamy łańcuch gór z dominującym wierzchołkiem Tatujak o 450 metrach wysokości.

Charakter ten jednak z czasem zatraciła. Od czasu, gdy ją Rumuni wzięli w swe posiadanie, to jest od roku 1878, dokładali oni wielu starań, aby zamienić tę bezowocną przestrzeń stepów w urodzajną glebę. Teraz rodzi się tam piękne zboże, a hodowla bydła, zwłaszcza owiec, doszła do rozkwitu. Zmieniły się również na lepsze stosunki hygieniczne. Dawniej uchodziła Dobrudża za siedlisko zarazków febry i innych chorób.

Rzadkie zaludnienie kraju tworzą Rumuni, Bułgarzy, Tatarzy i Cyganie.

Cała Dobrudża cierpi na brak wody, która tylko



Na nowej widowni wojny: Rodzina cygańska przed swem mieszkaniem w Dobrudży.



Krużganek klasztoru na Monte Santo.



Wielki ołtarz w kościele klasztoru na Monte Santo.

Gorycya w gruzach:

rzadko występuje tu bardzo głęboko pod powierzchnią ziemi. Następnie fatalne są stosunki komunikacyjne. Kraj przecina tylko jedna linia kolejowa z miejscowości Cernavoda do Konstancy. Kolej żelazna z Medijady do miejscowości Sulcea, jest dopiero planem.

Wzdłuż dolnego Dunaju ciągnie się sławny wał Trajana, który zgina się w kierunku Konstancy. Składa się on z trzech równoległych pasm, z których dwa są ziemne a jeden kamienisty. Środkowym punktem jego jest silna forteca Axiopolis.





Gorycya w gruzach: Ruiny zburzonego przez Włochów klasztoru na Monte Santo.

Gorycya w gruzach.

Niebywała w dziejach zawierucha wojenna, która ogarnęła całą Europę, już dwa lata zbiera swe straszne żniwo. — Ofiarą jej padły miliony istnień ludzkich, a w gruzach legły nie tylko wsie i miasta, ale całe kraje. Najdotkliwiej odczuła tę niszczycielską potęgę wojny Polska, na ziemiach której toczyły się i toczą najzaciętsze walki.

Illustrując ten obraz zniszczenia Polski, zamieściliśmy już liczne fotografie, przedstawiające gruzy i zgliszcza na ziemiach naszych. — Ale wszędzie, gdzie przejdzie współczesna wojna, znaczy swe ślady zniszczeniem. I u nas i na Zachodzie i na Południu wieleż to miast ze wspaniałymi pomnikami sztuki legło od początku wojny w gruzach. Dziś wprost trudno ocenić te olbrzymie straty, jakie poniosła ludzkość w zniszczonych zabytkach kultury.

Wśród miast, które spotkał ten okropny los, znalazła się i Gorycya. Od początku wojny wojska włoskie, walczące nad Soczą, szturmowały to miasto z niezwykłą gwałtownością. Bombardowano Gorycyę bez przerwy w ciągu kilku miesięcy, aż wreszcie zdobyto kupę rumowisk i gruzów. Wśród pięknych budowli tego starożytnego kraju został między innemi doszczętnie zniszczony słynny klasztor na Górze Świętej (Monte Santo), który był celem licznych pielgrzymek przeważnie włoskiej ludności, a dziś przez Włochów obrócony w gruzy.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć, przedstawiających ruiny i zwaliska pozostałe z tego klasztoru.



Turcy w Galicyi: Oficerowie tureccy w drodze na front wschodni

Polacy i Polki w Wiedniu.

Jedną z najszczytniejszych misyi humanitarnych w obecnej wojnie ludów jest niewątpliwie otoczenie należytą opieką tych, co w walce stracili zdrowie. Ze nie brak jednostek, które w tym kierunku nie tylko spełniają ciężki i trudny obowiązek, ale z całem poświęceniem i zaparciem się oddają swą pracę dla ulżenia doli rannych i chorych — świadczą liczne głosy wdzięczności nieszczęśliwych ofiar wojny dla ich opiekunów i opiekunek. Zwłaszcza w społeczeństwie polskiem, które najcięższe ponosiło i ponosi ofiary w obecnej wojnie, spotykamy się z tem głębokiem odczuciem cudzej niedoli. Oceniają to najlepiej chorzy, a jednym z takich wyrazów wdzięczności dla licznych pielęgniarek Polek w szpitalach wojskowych w Wiedniu była uroczystość imienin p. Krystyny Klęskówny na piątym oddziale szpitala rezerwowego „Wiedeń I.“, stojącego pod umiejętnem kierownictwem starszego lekarza sztabowego prof. dra Halbana ze Lwowa.

Ranni i chorzy bojownicy tego oddziału — wśród nich liczni Legioniści — ubóstwiają tak profesora Halbana dla jego nieskazitelnej sumienności pod względem opieki, badania i wydawania orzeczeń lekarskich, jakoteż „sztab“ jego, złożony z dwóch lekarzy Niemców, medyka Polaka Gustawa Rathausa i sióstr pielęgniarek, pań: Zofii i Krystyny Klęsk, Salomei Szmelkesówny, Michaliny Pieniążek i Zuzanny Berg.

Nadmienić tu należy, że siostra Krystyna, to także jedna z ofiar wojny. Córka ogólnie cenionego lekarza w Lubieniu Wielkim, który z upadkiem Przemyśla dostał się do niewoli rosyjskiej, wraz z matką swą, p. Zofią Klęsk, uchodzi z kraju na tułaczkę i obie niewiasty poświęcają się, jako ochotniczki, pielęgnowaniu chorych i rannych żołnierzy.

Jako wyraz wdzięczności za troskliwą opiekę wręczyli siostrze Krystynie jej pacyenci, choć sami



Gorycya w gruzach: Malowidła ścienne w zburzonym przez Włochów kościele na Monte Santo.



Legiony na polu walki: Chwilowy postój we dworze.



Polacy i Polki w Wiedniu: Chorzy piątego oddziału szpitala rezerwowego „Wiedeń I“ z siostrą Krystyną Klęskówną w pośrodku.

Niemcy, piękny bukiet róż o biało-czerwonych wstęgach z napisem: „Unsrer lieben Schwester zum Namenstage — Die Patienten vom Zimmer 186“, a uroczystość tę upamiętnili wspólną fotografią, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Turcy w Galicyi: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef rozmawia z oficerami tureckimi udającymi się na front galicyjski.



Śmierć na polu chwały: S. p. por. Edward Południak

Śmierć na polu chwały.

Toczące się na wschodnim froncie zacięte walki zaświadczyły znowu o męstwie polskich żołnierzy, ale i nowe usypały mogiły. Wśród tych, co ostatnie walki z napierającą nawałą rosyjską przypłacili własnem życiem, poległ bohaterską śmiercią ś. p. Edward Południak, porucznik pułku piechoty. Urodzony 27. września 1887 w Krakowie, tam też uczęszczał do seminaryum nauczycielskiego, a następnie pracował jako nauczyciel szkół ludowych. Po wybuchu wojny został dnia 12. sierpnia 1914 r. powołany do wojska. Mając ukończoną szkołę oficerską, wyruszył w pole, jako kadet-aspirant, dnia 29. czerwca 1915 r. Zapał, szlachetność, odwaga i zdolności młodzieńca zwróciły nań od razu uwagę i spowodowały szybko następujące awanse i odznaczenia. Z dniem 1. maja b. r. ś. p. Edward Południak zamianowany został porucznikiem.

Przez dwanaście miesięcy przebywając w polu, ś. p. Południak przetrwał wszystkie walki majowe i czerwcowe, aż wreszcie w bitwie pod Redkowem we wsi Mytnicy został ugodzony dwiema kulami rosyjskiemi. Ozdobiony krzyżem waleczności, kochany przez kolegów, czczony i uwielbiany przez swoich żołnierzy, pełen wiary w zwycięstwo dobrej sprawy, poległ bohaterską śmiercią dnia 18. czerwca 1916 roku.

Cześć jego pamięci!



Obrazki wojenne: Żołnierze austryaccy zakupują w Serbii nierogaciznę

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

7

— A co? — zawołał zwracając się do Tharpsa. — Czy źle uczyniłem, biorąc go za pomocnika, on wie o wszystkiem! I pamięć ma doskonałą!

— Przeceniasz moją wartość, kochany Huxley — odparł skromnie Chartton. — Czynię to, co każdy na mojem miejscu czynić byłby zmuszony. Jest to dla mnie najwyższą rozkoszą działać wspólnie z tak zaszczytnie znaną osobistością, jaką jest pan Wiliam Tharps, lękam się tylko, czy zasłużę na jego uznanie.

Tharps uśmiechnął się dobrodusznie i poklepał go dobrotliwie po ramieniu.

— Jestem przekonany, że współpracownictwo pana cenne wyda rezultaty, panie Chartton — rzekł z powagą. — Huxley miał bardzo szczęśliwą myśl, przyłączając pana do naszego towarzystwa.

Pochwała ta wywarła pionurujące wrażenie na Charttonie. Twarz poczerwieniała mu silnie i zmięszany mruknął kilka słów niezrozumiałych, a kiedyśmy opuszczali restauracyę i pożegnali się z nim, zaledwie śmiał wyciągnąć rękę do mojego przyjaciela...

Ułożyliśmy cały plan i Wiliam Tharps idąc ze mną bulwarem uczył mnie roli jaką miałem odegrać w tej wyprawie, kiedy nagle podszedł do nas człowiek jakiś nieznany.

Wyszedł niespostrzeżenie z wąskiej, ciemnej uliczki i ze sposobu, w jaki do nas się skradał, widziałem, że musiał nas śledzić.

— Co to za nowy ptaszek? — szepnąłem do Tharpsa — i mimowolnie postąpiłem krok naprzód na spotkanie nieznajomego. Ale Tharps wstrzymał mnie gwałtownie.

— Zostaw mi go — odparł.

Nie zatrzymując się wcale, zamienił z nim kilka słów cichym głosem, tamten zaś opowiadał coś szeroko rozkładając rękami. Tharps kilkakrotnie swisnął przez zęby, nie wiedziałem tylko, czy to miał być objaw zadowolenia, czy zdziwienia. Po krótkiej chwili nieznajomy zniknął w ten sam sposób, jak się pojawił, tłumiąc ostrożnie odgłos kroków.

Po jego odejściu, Tharps pogrążył się w długiem milczeniu. Twarz jego była poważna i skupiona. Paliła mnie ciekawość dowiedzenia się, kim był ten człowiek nieznany i czego chciał od mojego przyjaciela, ale nie chciałem przerywać jego zamyślenia. Zapewne musiał go znać, skoro przystąpił do niego i rozmawiał z nim. Musiał to być zatem jeden z jego ajentów wysłanych do śledzenia bandy Ludovica Marmont. Nie wiedziałem wiele o ekspedycyi, jaką mieliśmy przedsięwziąć, a z tego, co usłyszałem, domyślałem się, że tylko pod naciskiem Huxleya Tharps zgodził się przystąpić do niej. Musiał więc ukrywać jakiś powód ważny, skoro postanowił za ryzykować i odstąpić od pierwotnych swoich planów. Może to było pragnienie nielekceważenia żadnej sposobności, mogącej zniszczyć wyrachowania Ludovica Marmont i nadzieję pochwycenia go? Ale przed chwilą jeszcze wyrażał pewne wątpliwości co do współdziałania jego w tej sprawie. Ale, jak przypuszczałem, pociągał go najprawdopodobniej urok niebezpieczeństwa, działający zawsze tak silnie na jego awanturniczą naturę. Lękałem się, czy Tharps nie angażuje się lekkomyślnie w grę zbyt ryzykowną, bo przecież miał do czynienia z przeciwnikami, gotowymi na wszystko. Sposób, w jaki dotychczas przeprowadzali swoje plany, wskazywał jasno, że posiadają w rękach środki nie łatwe do zwalczenia. Cofnąłem się mimowolnie myślą do całego przebiegu tajemniczego morderstwa z pensyonatu Donay. — Ludzie, którzy w taki zuchwały sposób wcisnęli się do zamieszkanego domu, dokonali zbrodni i wynieśli ofiarę, niewidziani przez nikogo, chociaż o tej porze dnia goście i służba kręcili się po schodach i korytarzach, to nie byli banalni mordercy, którzy łatwo podejść i uchwycić było można. Przecież zwłoki d'Orwalda zniesione musiały być z drugiego piętra i mordercy, uchodząc z niemi, przejść byli zmuszeni przez ogród, gdzie wówczas znajdował się już ogrodnik i jego żona — i nigdzie nie zostawili najmniejszego śladu po sobie. Była to rzecz granicząca z niemożliwością, z czemś, czego umysł mój pojąć i zrozumieć nie mógł! A następnie zniknięcie profesora Schoettena i markiza da Santa Cruza czy nie zakrawało na jakąś humorystyczną bajkę? Ludzie ci dla jakichś im tylko znanych powodów zawadzali im i usunęli ich, jak się usuwa z drogi rzecz jakąś niepotrzebną. Rozważając to wszystko, coraz żywszy uczuwałem niepokój i przeczuwałem, że ryzykowne usiłowanie Tharpsa może się w niepożądany sposób dla niego zakończyć. Po raz pierwszy, odkąd pracowałem z nim wspólnie, byłem pod tak przykrem wrażeniem i uczułem, że wiara moja w potęgę mojego przyjaciela zmniejszać się zaczyna. Gdzież się podział ten ostrożny, przewidujący wszystko i odgadujący Wiliam Tharps? Zdawało mi się, że w niezwykle lekkomyślny i dziecinny sposób, nie patrząc na skutki, jakie mogą z tego wyniknąć — prowadzi siebie i nas wszystkich towarzyszących mu na pewną zgubę.

Tak, jak gdyby odgadywał myśli, dręczące mnie, Tharps nagle otrząsnął się z zamyślenia i biorąc mnie pod rękę, rzekł poważnie:

— Synhamie, wymagam od ciebie, abyś był bardzo ostrożny tej nocy. Czekają nas ciężkie chwile do przebycia. Zuchwałość i odwaga tych ludzi została mi jeszcze przed chwilą potwierdzona przez tego człowieka, któregoś widział rozmawiającego ze mną. Wiadomości, jakie mi przyniósł, zgodne są z przypuszczeniem mojem!...

— Więc znasz tego człowieka? Cóż to za jeden?

— To jeden z naszych. Wiadomości te dowiodły mi raz jeszcze, że ci, których ścigać będziemy, przepełnieni są pragnieniem uczynienia nas niezdolnych do dalszej z nimi walki. Bądź, mój kochany, przygotowany na wszelkie niespodzianki z ich strony.

Pod wpływem tych słów niepokój mój wzmógł się jeszcze. Zatrzymałem się nagle na ulicy i po chwyciłem Tharpsa za rękę.

— Wiliamie — zawołałem — czy nie zdaje ci się, że biegniemy, jak te owce na rzeź pędzone, na śmierć pewną? Czy nie angażujemy się lekkomyślnie w rzecz nieznaną nam dokładnie i niebezpieczną? Przed chwilą jeszcze słyszałem, jak spierałeś się z Huxleyem i nie uznawałeś potrzeby tej nocnej wycieczki, a teraz...

— A teraz co?

— Teraz, bez zastanowienia...

Tharps zmarszczył czoło i pociągnął mnie naprzód.

— Jeżeli chcesz mi uczynić przyjemność — rzekł poważnie — zechciej nie podnosić tak głosu, bo nie życzę sobie, aby wszyscy na ulicy wiedzieli, o co nam chodzi. Co zaś do reszty, to proszę cię, zaufaj mi, tak, jak to zawsze dotąd czyniłeś. Wiedz pozatem, że teraz nie cofnąłbym się już za żadne skarby świata i że sam zaryzykowałbym tę wycieczkę, gdyby nawet Huxley uznał jej zbyteczność. Czy nie możesz się domyślić, Synhamie, że to nie namowy Huxleya wpłynęły na moje postanowienie?

— Nie namowy Huxleya! Więc co?

— Dowiesz się o tem w swoim czasie. A teraz czy wierzysz mi i ufasz?

— Ty zawsze mnie umiesz przekonać, Wiliamie! — odparłem już uspokojony trochę.

Przechodząc koło kiosku z dziennikami, Tharps kupił najświeższe wydanie „Figara" i przeglądając go okazywał co chwila wielkie niezadowolenie.

Dramat z Saint-Mandé stanowił główną treść artykułów. Widocznie dziennik ten chciał okazać swoją wyższość i podać jaknajwięcej interesujących informacyi. Twierdził on stanowczo, a twierdzenie to miało być poparte przez władze policyjne, że markiz da Santa Cruza był wspólnikiem zbrodniarzy i że on to usunął profesora Schoettena, wykradłszy mu poprzednio papiery i notatki naukowe.

Z niektórych szczegółów poznałem, że inspektor Cornet i pan Tancon, komisarz z Saint Mandé, zeznali to wszystko, co dowiedzieli się o sprawie, przywłaszczając sobie wszelkie odkrycia poczynione w tym kierunku.

Ku wielkiej uciesze publiczności, dziennik rozpisywał się szeroko o zajściu z biletem wizytowym Ludovica Marmonta, a nazwisko to, rzucone w ten chaos i tajemniczość wydarzeń, było dla autora artykułu najlepszą rękojmią powodzenia. Artykuł pozatem kończył się kategorycznem twierdzeniem je dnego z funkcyonaryuszy policyjnych, że ślad po pseudo-markizie został odkryty i że w krótkim czasie nastąpi jego aresztowanie.

Tharps przeczytawszy wszystko do końca, zmiął z wściekłością dziennik i rzucił go na ziemię.

— Ci głupcy popsują wszystko! — mruknął przez zęby.

Nie wiedziałem, do kogo odnosi się ta uwaga, czy do urzędników policyjnych, czy też do autora artykułu, lecz następne wydarzenia przekonały mnie, że chodziło mu o policyę.

Weszliśmy wkrótce do kawiarni pod „Czerwonym królikiem". Była tam sala dosyć obszerna, przybrana wokoło dużemi lustrami. Przedzielona była na dwie części drewnianem przepierzeniem rzeźbionem w arabeski, co pozwalało wygodnie widzieć, co dzieje się po tamtej stronie. W mniejszej części sali znajdował się bufet, oblężony przez gości spragnionych szklanki wina lub absyntu.

Kilka stolików i krzeseł, porozrzucanych gdzieniegdzie, dopełniało urządzenia.

W tej części czuliśmy się swobodniejsi, niż w drugiej, zajętej przez bilard, około którego kręciło się kilku „panów" o podejrzanej powierzchowności. Kręte, wąskie schody prowadziły na pierwsze piętro do specyalnych gabinetów.

Z miejsca, któreśmy zajęli, widzieliśmy doskonale salę całą i mogliśmy obserwować ruch panujący przy bufecie.

Siedzieliśmy już może od godziny w tym kącie zadymionym i ciemnym, bez najmniejszego dla nas rezultatu. Przed wejściem jeszcze do kawiarni, umówionem zostało, że Huxley i Chartton strzedz mają zewnętrznej strony wejścia i jeżeli ujrzą jakąś podejrzaną osobistość wchodzącą do sali — mieli natychmiast pokazać się we drzwiach w celu ostrzeżenia nas.

Ale upłynęła jeszcze godzina i żaden z nich się nie pojawił.

Tharps, który nie znosił bezczynności, zaczął się na dobre niecierpliwić.

— Co tam takiego się stało? — rzekł do mnie w końcu. — Dokądże nam tu każą czekać.

— Jeżeli chcesz, to wyjdę i zobaczę — zaproponowałem mu.

— Tak, tak, mój kochany, bądź tak dobry! Nie mogę już usiedzieć na miejscu. Tylko musimy wynaleźć jakąś dogodną sposobność, bo kto wie, czy nas tamci nie śledzą.

— Mój przyjacielu — rzekł po chwili donośnym głosem — proszę cię, wyjdź na ulicę i przynieś tytoniu. Wypaliłem już wszystkie moje papierosy.

Wstałem natychmiast i skierowałem się ku drzwiom. Ale na ulicy nie było Huxleya. Chartton tylko podszedł do mnie i powiedział mi, że Huxley oddalił się trochę, ale wkrótce nadejdzie. Trzymał w ręku numer „Figara" i wskazał mi go ze złością.

— Czy czytał pan te absurda? — zapytał.

— Czytałem.

— No i jakże się pan na to zapatruje? Jak mogą ci głupcy podobne rzeczy publicznie rozgłaszać.

Zbyłem milczeniem jego oburzenie i powróciłem na salę.

— No i cóż? — zapytał mnie niespokojnie Tharps — Nie widzieli jeszcze nikogo?

— Nie mówiłem z Huxleyem, bo go nie było na ulicy — odparłem.

— Co ty mówisz? A Chartton?

— Chartlon jest i dyszy wściekłością na artykuł wydrukowany w Figarze.

Uśmiech przebiegł po twarzy Tharpsa i wyraz niezadowolenia wywołany wiadomością o nieobecności Huxleya, znikł zupełnie.

W tej samej chwili na salę weszło dwóch ludzi i prawie równocześnie ujrzeliśmy Huxleya.

Usiadł przy bufecie, niedaleko od nas i kazał sobie podać czarną kawę, z miną zupełnie swobodną rozglądając się obojętnie po otoczeniu. Kiedy wysączył już ostatnią kroplę, powolnym krokiem podszedł do mnie i poprosił mnie o ogień do papierosa. Wiedziałem już, że ma nam coś ważnego do zakomunikowania.

Pochylił się nieznacznie nad Tharpsem i szepnął:

— Ci dwaj, co teraz weszli, należą do bandy Ludovica Marmonta.

— Czy jesteś tego pewny? — odszepnął mój przyjaciel.

— Chartton ich poznał. Ja jednego znam z widzenia. Nie może być pomyłki.

— Gdzie Chartton?

— Nie chciał tu wejść, bo obawiał się, że go poznać mogą.

Dotknął ręką kapelusza i powrócił na dawne miejsce, nie zwracając niczyjej uwagi.

Po chwili uregulował rachunek i nie patrząc w naszą stronę, opuścił kawiarnię.

Po rozmowie z Huxleyem dziwnego doznawałem wrażenia. Nie mogłem oderwać spojrzenia od tych dwóch ludzi wskazanych nam przez ajenta i byłem pewny, że jednym z nich musi być Ludovic Marmont.

Nieznajomi mieli wygląd skromnych i spokojnych urzędników. Rozmawiali ze sobą bez ożywienia, jakgdyby przeżywając jakieś wspomnienia wspólnej przeszłości, ale pomimo tego biernego zachowania się, poznałem, że jeden z nich w stosunku jakiejś wyższości pozostawał do drugiego.

Stali teraz przy bufecie, rozmawiając żartobliwie z właścicielem kawiarni. Tenże, gruby jegomość o twarzy czerwonej i pełnej, urzędował za ladą w towarzystwie swojej żony. Na zaczepki i żarty odpo-

wiadał niechętnie i mrukliwie, zajęty gorliwie napełnianiem kieliszków i odbiorem pieniędzy.

Nasi dwaj „urzędnicy" bawili się coraz więcej jego zasępioną miną i nie odchodzili od bufetu. Kiedy wchodzili na salę, zauważyłem spojrzenie „kasyerki" rzucone na męża, a następnie jakieś znaki porozumienia zamienione pomiędzy nimi.

Kiedy ten, którego miałem za Ludovica Marmonta, podniósł szklankę do ust, byłem przekonany, że się nie pomyliłem. Marmont, jak to już wyżej zaznaczyłem, posiadał ręce nadzwyczaj delikatne i małe. Były to charakterystyczne, typowe, rasowe ręce człowieka należącego do lepszych sfer towarzystwa.

Niejednokrotnie już zdradziły go, gdyż pomimo rękawiczek uderzały rysunkiem swoim wytwornym i małością, tembardziej odbijającą od jego muskularnej i silnej postaci.

Poznawszy te ręce, jeszcze baczniej obserwować zacząłem nieznajomego. Odkryłem cienki, szlachetny profil, usta wypukłe i małe, ostry rysunek brody i wyniosłe czoło tego arystokraty, który teraz stał się szefem znanej bandy opryszków.

Nie pomyliłem się! To był Ludovic Marmont! Z pod niezgrabnego kroju ubrania, uwydatniały się ruchy jego wytworne, nacechowane jakąś niedbałością i swobodą — te ruchy, których jakiś biedny, zapracowany urzędniczyna posiadać nie może.

Towarzysz jego pochylił się i szepnął coś do żony właściciela kawiarni. Widziałem, że zapanowała nad sobą, aby nie powstać i pochwyciłem wyraz wielkiego zdziwienia malujący się na jej twarzy. Spojrzenie jej, skierowane na Marmonta, wyrażało podziw jakiś i szacunek! Zwróciłem teraz baczniejszą uwagę na właściciela kawiarni, zajętego rozmową o polityce przy końcu bufetu. Kiedy powrócił po chwili do żony i zamienił z nią kilka słów — dostrzegłem na jego twarzy ten sam wyraz zdziwienia i szacunku.

Jakiż urok posiadał ten Ludovic Marmont, kiedy pojawienie się jego wywierało tak silne wrażenie.

Pani Raymond, żona własciciela kawiarni pod „Czerwonym Królikiem", umiała widocznie ocenić wszystkie zalety tego światowego awanturnika, odróżniającego się urodą i wytwornem obejściem, od reszty swoich współtowarzyszów.

Ludovic Marmont jednak dostrzegł te spojrzenia pełne uwielbienia biegnące ku niemu, bo powstał nagle od stolika, brwi marszcząc i podszedł do bilardu dla odwrócenia od siebie uwagi.

Ja zaś byłem tak zajęty obserwowaniem tej cichej komedyi odgrywającej się w oczach moich, że dopiero uwaga Tharpsa powróciła mi przytomność umysłu i wykazała całą nieostrożność mojego postępowania.

— Synhamie! — rzekł trącając mnie lekko w ramię — najwyższy jest czas, abyś spojrzenia swoje przeniósł w inną stronę. Zapominasz, pocośmy tu przybyli.

Kiedy odwróciłem głowę, Tharps podparty na ręce patrzał obojętnie w przeciwną stronę sali.

— Teraz to już poznasz go wszędzie — wycedził jeszcze przez zęby.

— Więc to „on" — zapytałem gorączkowo.

Tharps wzruszył pogardliwie ramionami.

— Straciłeś dosyć czasu, aby dojść do tego przekonania, mój kochany.

Pomimo słów mojego przyjaciela uczułem się dumnym, że udało mi się bez niczyjej pomocy poznać Ludovica Marmonta. Ironiczny ton Tharpsa nie dotknął mnie wcale, bo pomógł tylko do utwierdzenia mojego domysłu.

— A teraz chodźmy już stąd — rzekł po chwili — Już się więcej niczego tu nie dowiemy.

Szybko uregulował rachunek i pociągnął mnie ku drzwiom. Kiedy przechodziliśmy obok bilardu, Tharps przez chwilę stanął oko w oko z Ludovikiem Marmont. Spojrzenia ich zbiegły się ze sobą, ostre, przenikające, jak ostrza sztyletów.

Marmont również poznać musiał swojego przeciwnika, bo lekki, ironiczny uśmiech przemknął po jego wydatnych ustach.

A kiedy otwieraliśmy już drzwi od ulicy, dobiegł nas donośny, dźwięczny głos Marmonta:

— No, mój przyjacielu — mówił do swojego towarzysza. — Widzę, że masz wielką ochotę rozegrać ze mną partyę bilardu. Ostrzegam cię jednak, że jestem dobrym graczem i nie łatwo uznam się za pokonanego.

— Słyszałeś? — zapytałem Tharpsa, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. — Ten wykrzyknik Marmonta miał podwójne znaczenie. Uzbraja się widocznie do zaciętej walki z tobą.

— Zobaczymy, kto kogo zwycięży — odparł flegmatycznie Tharps, zapalając papierosa.

Blask w oknie.

Prowadzeni przez Charttona, który, jak poznałem, lepiej znał bandę Marmonta, niż to przypuszczać moglibyśmy, szliśmy wązką a ciemną uliczką, nieznanej mi nazwy. Celem naszej wycieczki było przekonać się teraz, czy pewien dom, o którym wiedział Chartton, był rzeczywiście nocnem schroniskiem i punktem zbornym tej zorganizowanej bandy.

Opuszczając kawiarnię „pod czerwonym królikiem" zdziwiony byłem, że Tharps nie zarządził natychmiastowego aresztowania Ludovica Marmonta i nie wykorzystał tak dobrej okoliczności. Przypuszczałem, że i tamten mógł być przygotowanym na tę ewentualność. Zdumiony więc byłem jego odwagą i lekkomyślnością, przechodzącą już w wyzywającą zuchwałość. Przecież ten człowiek był już kilkakrotnie karany, na głowę jego nałożono cenę niebywałą, a fotografia jego wystawiona była na miejscach publicznych, mimo to jednak przechadzał się spokojnie po ulicach miasta, żartując sobie z pościgu policyi, wyprowadzając ją w pole z humorem ulicznika, który wie, że wszystko ujść mu może bezkarnie.

— Dlaczego nie kazałeś go aresztować, Wiliamie? — zapytałem. — Dlaczego nie wykorzystałeś tak dobrej sytuacyi?

— Aresztować go w kawiarni — odparł niedbale — byłoby to zanadto łatwe, lub też skomplikowane.

— Nie rozumiem cię.

Tharps pociągnął mnie za rękę i podprowadził pod okno kawiarni.

— Przypatrz mu się uważnie — rzekł. — Czy widzisz, z jaką swobodą, spokojem i pewnością siebie zabawia się w najlepsze? Ach, to niełatwy przeciwnik do pokonania, zaręczam ci. Zaobserwuj tylko to śmiałe jego uderzenie, przytomność umysłu i bystrość oka.

Przyznać musiałem, że Marmont był graczem niezwykłym. Kule bilardowe zdawały się mu być posłuszne, jak dzieci. Biegały zręcznie i szybko po suknie zielonem i powracały trafiając zawsze w cel zamierzony.

Koło bilardu gromadziło się coraz więcej ciekawych, zwabionych mistrzowską grą Marmonta. — Wszystkie twarze ożywione były ciekawością i podziwem. Tharps wskazał mu ruchem głowy ten tłum zacieśniający się coraz bardziej.

— Spróbuj tylko zwalczyć ten mur ochronny — rzekł, uśmiechając się.

— Co ty mówisz? — zdziwiłem się. — Czy to koło wielbicieli, otaczające Marmonta, miałoby się składać z podwładnych, gotowych na każde jego skinienie?

— Nie inaczej, mój kochany! Dopomogliby mu do ucieczki w mgnieniu oka.

— Może ty mylisz się, Wiliamie. Przypuszczenie twoje może być bezpodstawne.

— Nie mylę się, możesz być o tem przekonany. Znam dobrze Ludovica Marmont.

— A jednak — nalegałem — ci ludzie, to może spokojni mieszczanie i mniejsi urzędnicy, których zaciekawia poprostu zręczna gra naszego przeciwnika.

Tharps roześmiał się głośno.

— Jesteś mało spostrzegawczy Synhamie.

— Zdaje mi się — ciągnąłem dalej — że gdyby w tej chwili ktoś wszedł do sali i zawołał głośno: „to Ludovic Marmont, dopomóżcie do pochwycenia go", to wszyscy tu zebrani postaraliby się o udaremnienie jego ucieczki. Koło zacieśniłoby się coraz więcej i kilkanaście rąk silnych i pewnych wyciągnęłoby się groźnie w stronę tego, który obecnie tak jest za grę swoją podziwiany.

— Nie, mój kochany, mylisz się zupełnie! — rzekł poważnie Tharps — W ludziach niższych warstw społecznych istnieje wielka solidarność. Nikt tu na sali w razie potrzeby nie powstanie przeciw Ludovicovi Marmontowi! A gdyby się nawet taki śmiałek znalazł, pożałowałby tego niezawodnie.

— Dlaczego?

— Boby wcześniej czy później ukarany został przez towarzyszów Marmonta, za brak lojalności. Widzisz więc, usiłowanie aresztowania go tutaj byłoby ryzykowne i bezcelowe. Przyznam ci się, że wolę obrać do tego drogę bardziej podstępną i nie tak banalną.

Kiedy odchodziliśmy od okna, dobiegły nas wykrzykniki i oklaski na cześć Marmonta.

— Ten entuzyazm — rzekł jeszcze Tharps — to najlepsza rękojmia jego bezpieczeństwa.

Idąc za moim przyjacielem rozważałem jeszcze nad słowami rzuconemi przez sławnego awanturnika i doszedłem do wniosku, że tenże musiał być bardzo pewnym siebie, skoro odważył się na tę dwuznaczną groźbę pod naszym adresem. I raz jeszcze mu siałem uznać takt i rozsądek mojego przyjaciela. Bo teraz przed oczami mojemi przesunęła się cała ta banda „spokojnych mieszczan" i „skromnych urzędników", tworząca rzeczywiście wał ochronny przed Marmontem i wydobywająca z zanadrzy ukryte noże i rewolwery, gotując się do zaciętej walki w jego obronie.

I widziałem nas, również zaangażowanych w to niebezpieczne koło, z któregobyśmy się bez szwanku wydostać już nie mogli.

Idąc cuchnącą, wązką uliczką, mimowolnie rozmyślałem nad tem wszystkiem i szczęśliwy byłem, że los uchronił nas od podobnej ostateczności.

Kto wie, coby się z nami do tej pory stało i coby uczynili nasi przeciwnicy, gdybyśmy tak nieostrożnie wpadli w ich ręce.

— Szczęśliwą myśl miałeś opuszczając kawiarnię — przyznałem Tharpsowi. — Uniknęliśmy w ten sposób wielkiej nieprzyjemności.

— Miło jest mi usłyszeć, że przyznajesz mi słuszność. — odparł uśmiechając się — Naucz się baczniej obserwować Synhamie i nie gorączkować w takich razach, a będziesz zawsze mojego zdania.

Teraz znowu myśl inna owładnęła mną, nie dając mi spokoju. Wynajdywałem jakieś analogiczne rysy podobieństwa w postaciach Ludovica Marmont i markiza da Santa Cruza. Linia głowy, zarys profilu i ruchy wydały mi się te same, lecz zastanawiały mnie ręce. U markiza da Santa Cruza nie mogłem rozpoznać tych charakterystycznych dłoni, zdradzających całą osobistość tamtego. Byłem tak głęboko pogrążony w tych drobiazgowych zestawieniach i kombinacyach, że znowu Tharps był zmuszony ująć mnie za rękę, aby mnie powrócić do rzeczywistości.

— Synhamie, zatrzymujemy się tutaj — ostrzegł mnie.

Podniosłem głowę, wyrwany nagle z mojego zamyślenia. Staliśmy przed domem o nędznej powierzchowności, o wybladłym, brudnym kolorycie murów. Zaciemniony korytarz wiódł na schody oświetlone z góry małą lampką gazową, której płomień migotał słabo i nierówno. Tuż przy schodach znajdowały się drzwi prowadzące na dziedziniec.

Chartton, który szedł naprzód, przeszedł obok tych drzwi, nie zatrzymując się. Ruchem ręki wskazał nam schody, nie przerywając milczenia, ale Tharps usunął się na bok mówiąc:

— Niech pan idzie pierwszy. Pan jest lepiej obznajmiony z rozkładem domu.

W klatce schodowej ujrzeliśmy okno wąskie o przyciemnionych szybach. Tharps przechodząc, nachylił się i spojrzał ciekawie. Poszedłem za jego przykładem.

Miałem ztąd widok na dziedziniec zewnętrzny i z położenia budynku poznałem, że front kamienicy znajduje się w stronie przeciwnej. Chartton więc wprowadził nas tylnem wejściem. Dziedziniec był bardzo wąski, widocznie tylko dla użytku służby. Z prawej strony wznosiła się tylnia część domu, zawierająca po jednem oknie na każdem piętrze.

Kiedy doszliśmy do drugiego piętra, Chartton, który ciągle szedł przed nami, zatrzymał się. Zbliżył się do okna i nadsłuchiwał czegoś uważnie, wyciągając szyję.

Skorzystałem z tego, że szedłem ostatni, by raz jeszcze dokładnie obejrzeć dziedziniec. Spojrzenie moje pobiegło mimowoli ku oknu, znajdującemu się na wysokości schodów, na których staliśmy i zaledwie powstrzymałem się od wydania głośnego okrzyku.

Tam, za tem jedynem oknem, wybitem w ścianie, ujrzałem twarz jakąś i byłem prawie pewnym, że to była twarz markiza da Santa Cruza.

— Co ci jest? — zapytał Tharps, widząc moje zmieszanie.

— Tam, za oknem! Markiz! Przysiągłbym, że to on!

— Co ty mówisz?

Szybkim ruchem Tharps otworzył okno i wychylił się, podczas kiedy dwaj nasi towarzysze zbliżyli się szybko zaciekawieni, pytając się, co się stało.

Pokój, w którem ujrzałem markiza, był silnie oświetlony, ale już w nim nikogo nie było.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ze wschodniego frontu: Rosyjscy jeńcy-liliputy.



Legiony na polu walki: Grupa oficerów kawaleryi podczas odpoczynku w lesie.

Odznaczenie przeora O. O. Bonifratrów.

Działalność O. O. Bonifratrów znana jest wszystkim narodom w monarchii. Już w czasach pokojowych prowadził Zakon O. O. Bonifratrów niesłychanie zbawienną działalność na polu opieki nad najuboższymi chorymi. Działalność ta i jej agendy zwiększyły się naturalnie w czasie wojny, z chwilą kiedy szpitale tego Zakonu przeszły na usługi wojskowości. Ile ofiarnego poświęcenia, ile samozaparcia się wkładają w swą pracę O. O. Bonifratrzy, mamy tego niezliczone dowody, jak naprzykład wy trwanie na posterunku aż do ostatniej chwili w szpitalu w Gorycyi. O tej iście samarytańskiej ich służbie będą mogły świadczyć te setki tysięcy żołnierzy, którzy przewinęli się przez szpitale O. O. Bonifratrów.

We wszystkich szpitalach O. O. Bonifratrów, a zwłaszcza w Krakowie w pierwszym epidemicznym szpitalu twierdzy niema przełożonych, ani podwładnych, bo wszyscy uważają się za szeregowców w wielkiem dziele miłosierdzia i ofiarnej pracy około ulżenia doli chorych poruczonych ich pieczy. To też zarówno chorzy, jak i cały Zakon dumny jest z dwóch odznaczeń, które otrzymał przeor tegoż zakonu, O. W. Uhlrich, jako widomy znak, że i wyższe władze wojskowe umieją ocenić jego zasługi tak wobec chorych, jak i wobec braci zakonnych, którzy mu podlegają. Dwukrotne odznaczenie O. przeora (złoty krzyż zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności i honorowa odznaka Czerwonego Krzyża II. klasy z dekoracyą wojenną) jest dla całego szpitala zaszczytem, bo jest uznaniem dla wszystkich współpracowników Zakonu, którzy w swoim przeorze mają jasny i piękny przykład, jak można łączyć takt, miłość bliźniego i skromność ze spełnieniem nieraz bardzo trudnych wobec cierpiącej ludzkości obowiązków.

W dzisiejszym numerze na str. 4 zamieszczamy podobiznę odznaczonego przeora O. O. Bonifratrów w Krakowie.



Ucieczka z niewoli rosyjskiej: Ludwik Iwaszko, kadet 13 pułku piechoty.

Ucieczka z niewoli.

Jedną z cech współczesnej wojny jest olbrzymia liczba jeńców. — Niszcząca siła współczesnej broni sprawia, że najliczniejsze oddziały, jeśli zostały osaczone i dostały się w ogień nieprzyjacielski, muszą poddać się, aby uniknąć bezcelowego rozlewu krwi. To też liczba jeńców we wszystkich państwach wojujących określa się już milionami. Odesłani w głąb kraju znajdują się oni pod czujnym dozorem, zupełnie izolowani i odcięci od stykania się z ludnością cywilną. Zwłaszcza w Rosyi los jeńców jest nie do pozazdroszczenia. Wysłani daleko w głąb państwa, a nawet na Syberyę, muszą żyć w środowisku i warunkach, które niejednokrotnie stają się torturą dla cywilizowanego człowieka. Chętnieby też porzucili tę przymusową bezczynność i wrócili do własnych armii, lecz ucieczka z niewoli, zwłaszcza w Rosyi, wobec olbrzymiej odległości miejsc internowania jeńców, jest prawie niemożliwą... Ze jednak i tutaj odwaga, silna wola i spryt może przezwyciężyć największe trudności, dowiódł kadet 13 p. p. Ludwik Iwaszko, który zdołał się wyrwać z niewoli rosyjskiej i powrócić do Austryi.

Dostawszy się dnia 31-go sierpnia 1915 roku do niewoli, dzielny „trzynastak“, po dziesięciu miesiącach pobytu w Rosyi, potrafił nie tylko uciec z miejsca internowania, lecz w wiejskiem przebraniu dotarł do Rumunii (jeszcze przed wybuchem wojny), a stąd już powrócił bez przeszkody do kraju.

Notując ten niezmiernie rzadki w kronikach obecnej wojny fakt, zamieszczamy podobiznę dzielnego bohatera niezwykłej ucieczki.



Obrazki wojenne: Czwarty batalion 20 pułku piechoty na froncie.



Legiony na polu walki: Lektura „Nowości Illustrowanych“ w okopach

Kronika tygodniowa.

Chcąc, aby kroniki moje mogły po x latach być cennym materyałem dla uczonego, któremu zechce się badać życie i kłopoty przeciętnego poczciwego Krakowianina w czasie obecnej wojny, muszę też wspomnieć i o owym półksiężycu, co to wbił się tak klinem w głowę Krakowianom.

Było to w sobotę ubiegłego tygodnia. Dzień to dla mnie pamiętny, wówczas bowiem z powodu cierpienia dolnych odnóży nie opuszczałem mieszkania. Widzę już, a raczej słyszę, jak niejedna z Czytelniczek, z tych mianowicie, które uważają mnie za kawalera, mówi do siebie ze złośliwym uśmiechem:

— Dobrze mu tak! Reumatyzm! Wyłażą z niego łajdactwa młodości...

Jeśli jednak tak myśli, lub mówi, jest w błędzie. Reumatyzm jest mi dotąd nieznany, dolegał mi jedynie brak butów, ostatnią bowiem parę, zmuszony okolicznościami, dałem do naprawy, wobec czego musiałem siedzieć w domu bezczynnie, nie mogąc wyjść w pantoflach, choć dusza rwała się na ulicę.

Wczesnym już rankiem rodzina moja rozbiegła się po mieście, by zająć miejsca przed drzwiami sklepów, w których sprzedają cukier i kawę, ja sam miałem stanowić część ogona, zdobiącego drzwi głównej trafiki, w dniu owym dostać bowiem można bodaj odrobinę tytoniu i cygar. Nie poszedłem jednak na stanowisko z przyczyny wyżej wymienionej.

Około godziny jedenastej wpada do domu Kasia, która już zakupna porobiła i woła:

— Proszę pana!... Księżyc!

— Czyś zwaryowała?! — ja jej na to — Co za księżyc wlazł ci znów w głowę...

— Nie w głowę! Jest na niebie...

— Teraz? Ależ to słońce!

— Nie, proszę pana! Księżyc, i to całkiem prawdziwy, zupełnie taki sam, jaki nosił ten kapral od policyi, co się to miał zeszłego roku ze mną żenić...

O ile wiem z astronomii, to księżyc w dzień nie świeci. W pierwszej chwili myślałem więc, że się dziewczynie przywidziało, gdy spotkała na ulicy stróża publicznego porządku, wczas jednak przypomniałem sobie, że teraz pierś ich zdobi owalna blaszka z numerem, którą się nosi na sercu, a to ma być księżyc-rogalek, jakiego używał w służbie jej były narzeczony.

Z tą samą wiadomością przybyła w pół godziny później córka, potem druga, wreszcie trzecia, gdy nakoniec wtoczyła się Weronisia i potwierdziła, musiałem uwierzyć.

— Powiadam ci — mówiła — ludzi na ulicach, jak mrowia. Wszyscy patrzą na niebo. A na niebie, powiadam ci, księżyc, zupełnie taki sam, jak te rogalki maślane po dwa centy, któreś tak lubił do kawy...

Westchnąłem tylko i oblizałem się, gdyż smutną była dusza moja.

A Weronika dalej opowiadała:

— Ludzie patrzą i robią różne przypuszczenia. I ja patrzyłam się na niebo przeszło godzinę i widziałam na własne oczy księżyc, raczej pół-księżyc i to z gwiazdą w pośrodku. Ale też nic nie kupiłam w mieście, wobec czego obiadu dziś nie będzie. Idź do miasta i tam zjedz. Masz tu koronę...

— To mało!

— Powinno ci wystarczyć! Dziś dzień beztłuszczowy, a piwa przed południem nie dostanie...

— Zresztą nie mam butów!

— To wdziej moje...

— Zaduże! Już próbowałem.

— To której z dziewcząt...

— Zamałe!

— W takim razie Kasi!

— Także doniczego! Ona nosi takie wysokie modne obcasy...

Węzeł gordyjski rozciął dopiero i to za jednym zamachem chłopiec od szewca, niosący moje trzewiki, do jakiego takiego doprowadzone stanu. O mały figiel nie rzuciłem mu się z radości na szyję.

I jego pierwsze słowa były:

— Księżyc, proszę pana...

Nie słuchałem jednak, pantofle rzuciłem w kąt i zacząłem wdziewać trzewiki, bo nuż księżyc na mnie nie chce czekać... Gdym był już gotów i kapelusz miałem na głowie a laskę w ręce, chłopak szewski odzywa się nagle:

— Ale majster prosi o pieniądze!

— Powiedz majstrowi, że księżyc... — nie dokończyłem, pokazując mu na sufit, mający w tym wypadku zastąpić niebo i zniknąłem za drzwiami. Weronisia da sobie z nim radę, ja tam mam zbyt miękkie serce, choć, prawdę powiedziawszy, i ono nic nie pomoże, gdy pustki w kieszeni.

Na ulicy ruch, każdy zapatrzony w niebo. I ja, idąc naprzód, zadzieram głowę do góry i wpadam na jakiegoś przechodnia, który w ten sam sposób postępuje z przeciwnej strony.

— Przepraszam!

— I ja także!... A! To kochany profesor! Może mi pan wytłumaczy to zjawisko. Więc to jest naprawdę księżyc?

— Nie inaczej!

— A nie myli się kochany profesor? Może to słońce, tylko się tak ze zimna skurczyło?...

— Upewniam pana, że to księżyc. Ot, słońce jest tam...

To rzekłszy, wskazał palcem w przeciwną stronę, gdzie jednakowoż horyzont zasłaniała kamienica.

— Jakiż więc powód tego zjawiska? — badałem dalej — Czy to ma jaki związek z polityką i obecną sytuacyą?

— Najmniejszego nie ma! — odparł — Oto księżyc, znajdujący się wczoraj w pobliżu konstelacyi Raka, Bliźniąt i Lwa, wskutek przejrzystego powietrza po kilkudniowych deszczach, był widocznym przy świetle słonecznem, a razem z nim można było dostrzedz niektóre gwiazdy wspomnianych konstelacyi, oraz planety Saturna i Wenus, zwłaszcza tę ostatnią, jako małe punkciki złote...

— W każdym razie Marsa nie widać.

— Zdaje mi się, że nie!

— To już dobrze...

Pożegnaliśmy się. Za chwilę spotkałem jednego ze znajomych radców miejskich.

Zagadnął mnie słowami:

— I cóż kochany pan na to?

— Ano, nic, radco dobrodzieju! — rzekłem — Rzecz jasna, jak słońce, choć to tylko księżyc, który, znalazłszy się w pobliżu konstelacyi Lwa...

— Oho! Pewnie znów weźmiecie z tego asumpt do zaczepienia Ekscellencyi...

— Ależ! Co też radca powiada! Jeśli kiedy wspominałem, to nigdy o Ekscellencyi, ale o całej Radzie i jej uchwałach. Jednostek z zasady nie zaczepiam, choć nieraz aż się proszą o to!

— Dzięki Bogu! W takim razie daj, łaskawco, mnie spokój, choć głosowałem za ową nieszczęsną emeryturą, czego dziś żałuję. Ale trudno! Moi przyjaciele polityczni, którym zawdzięczam niejedną dostawę, podeszli mnie w szpetny sposób... Wracając jednak do księżyca, czy nie myślisz pan, że pojawienie się jego i to do tego z gwiazdą w środku, zupełnie jak w herbie tureckim, nie ma przypadkiem jakiegoś związku z obecną sytuacyą?

— Zapewniono mnie, że nie ma żadnego. Poczekajmy do jutra rana, co powiedzą wstępne artykuły naszych pism codziennych. Żegnam kochanego radcę i życzę zdrowia.

— Dziękuję! Jak człek może być jednak zdrowym, gdy przez cały dzień musi się użerać z lokatorami, a piwa napić się może dopiero wieczór!...

— Lepiej byłoby odwrotnie, ale trudno, radco kochany, teraz wojna. Może być jeszcze gorzej. Kto wie, czy ten półksiężyc, nie zastępuje komety, a wiadomo, że ona jest zwiastunką nieszczęścia...

— Nie gadaj! Pfuj! Obyś w złą godzinę nie powiedział...

Rozstaliśmy się w najlepszej komitywie. On poszedł w swoją stronę, ja w swoją. Nie uszedłem i dziesięciu kroków, spotykam na ulicy znajomą panią doktorową, wystrojoną w krótką spódniczkę, jak każe moda oszczędnościowa (zdaleka i do tego z tyłu wygląda w niej na lat szesnaście, choć dobiega już kopy...), wspaniałe boa, słomiany kapelusz. Nad sobą ma rozpiętą parasolkę, prawdopodobnie dlatego, iż wszelakie malowidła płowieją na słońcu, a ono właśnie świeci, a ona... nie powiem, że się maluje, bo jestem dyskretnym, i nie lubię zdradzać tajemnic toaletowych znajomych dam.

— Ach! Jak to dobrze, że spotykam kochanego pana! — odezwała się z najpiękniejszym grymasem, na jaki się zdobyć mogła.

— I ja cieszę się z tego ogromnie! — odparłem z szarmanckim ukłonem.

— Może zechce mi pan wytłumaczyć, dlaczego wszyscy tak się patrzą na niebo.

— Bo, proszę pani, widać na niem sierp księżyca, a wśród niego gwiazdę!

— Czy być może?... A ja patrzę już prawie pół godziny i nic nie widzę!...

— Trzeba zamknąć najpierw parasolkę!

— Ach! Jaka ja jestem roztrzepana!... Zapomniałam o tem. Czy mi to jednak na płeć nie zaszkodzi?

— Sądzę, że w tym wieku nie!...

— Impertynent! — mruknęła, odwróciła się z godnością odemnie i zapewne na złość rozpięła nad sobą parasolkę, z pod której chciała robić spostrzeżenia astronomiczne.

Ukłoniłem się, jak każe etykieta i skierowałem swe kroki w stronę Małego Rynku, gdzie zapewne także spostrzeżono nadzwyczajne zjawisko i potrafiono wyciągnąć zeń odpowiednie wnioski.

I nie pomyliłem się. Już w Siennej ulicy ujrzałem dwu astronomów, wchodzących do sklepu Rosego. Jeden z nich tłumaczył coś drugiemu, co chwila powtarzało się słowo: „księżyc", „Turek", „wojna". Miałem chwilowo zamiar wmieszać się w dyskusyę, dałem jednak spokój ze względu na to, iż był to mój nadworny szewc i krawiec, z którymi zerwałem wszelkie stosunki dyplomatyczne.

Przed Barberowskim na Małym Rynku obserwatoryum w ruchu. Zebrało się tu przedstawicielek płci, tak zwanej nadobnej, więcej, niż w dzień sprzedaży cukru. Stanąłem z tyłu i słucham, nie mieszając się do dyskusyi, gdyż mogłoby to być niebezpiecznem.

I oto co słyszałem:

— Widzi pani Tomaszowa! Ten księżyc, to Turek, a te gwiazdy obok, to ci, co z Turkiem trzymają. A i my trzymamy z Turkiem! A Turek musi być górą, tak, jak ten księżyc co nic sobie ze słońca nie robi i w samo południe wylazł na niebo!

— A ja pani powiadam, że to znaczy co innego. To jest przestroga dla piekarzy, aby już wojnę skończyli i zaczęli wypiekać rogalki i bułki...

— Gadacie! — przerwała znów pani Franciszkowa, bardzo pobożna niewiasta — Mówił niedawno u świętej Barbary ksiądz Jezuita, że za pasem już koniec świata, a wtedy będą widzialne nadzwyczajne rzeczy na ziemi i niebie... Otóż księżyc i słońce razem, to znak, że koniec świata już blizko...

— Dałby Pan Bóg! — dodała czwarta — Wtedy skończy się i wojna, a mój stary wróci do domu. A cni mi się już bez niego.

— Aha! A jak wróci, to się będziecie ino kłócić!

— Widzisz ją! Będzie wtykać nos w nieswoje rzeczy! Albo nam to niewolno? Nie jestem ja obywatelska córka, nie taka przybłęda, jak pani?

— Ładna mi obywatelska córka, co jej matka farynę pod słońcem sprzedawała... Hi! h! h!

Widząc, że sytuacya staje się coraz bardziej zaostrzoną, a bojąc się, by nie przyszło do energiczniejszej wymiany myśli, przyczem mogłoby się oberwać i widzowi neutralnemu, skończyłem wywiady i pociągnąłem „pod Palmę" i „pod Obraz", gdzie już komentowano zjawisko i wywodzono łączność jego z brakiem i podrożeniem piwa.

Tutaj stoczyłem przedewszystkiem walkę na słowa z pewnym mecenasem co do kwestyi, w której stronie sklepienia niebios znajdował się księżyc w chwili, gdy go oglądaliśmy. Ponieważ zdania były różne, a żaden z nas nie chciał ustąpić, aby przeciwnika nie obrazić, w myśl przysłowia: mądry... postanowiliśmy urządzić wizyę lokalną i spisać dowód, ku wiecznej pamięci, co się jednak nie stało, gdyż księżyc, znudzony czekaniem na nas, tymczasem gdzieś się zgubił. Prawdopodobnie, ze względu na zbliżający się nów, udał się na spoczynek.

Zasiedzieliśmy się nieco, wyłoniła się bowiem jeszcze druga kwestya, mianowicie, czy księżyc był rożkami do góry, czy na dół. Obszerne wykłady, poparte nawet rysunkami na stole restauracyjnym, miały dwu profesorów (obydwaj specyaliści od przyrody), nie doszli jednak i oni do porozumienia.

Koniec końców przyszły historyograf, o ile zechce korzystać z materyału, jaki mu zostawiłem, będzie miał ułatwione zadanie, może zaś być przekonanym, że i słowa nie zmyśliłem. Zna mnie cały Kraków z prawdomówności.

Co się tyczy mych własnych zapatrywań na tę kwestyę, to muszę powiedzieć, iż bardzo mi się nie podoba to włóczenie się półksiężyca za dnia po niebie, skoro na to noc jest przeznaczona i to do tego w damskiem towarzystwie. Astronomowie powiadają wyraźnie, że widzieli w jego objęciach piękną Wenus. I jej się bardzo dziwię, że tak nizko upadła. Nie tak dawno widzieliśmy ją romansującą na sklepieniu niebios z samym Jowiszem, dziś zadowoliła się jakimś tam półksiężycem. I mów tu i pisz o moralności między ludźmi, gdy tam jej niema!

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Zamiast liczb wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Srodkowy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiej powieściopisarki.

			1	7	8			
			6	1	6			
			1	6	3			
9	5	16	3	2	7	11	12	6
15	14	5	1	14	17	7	8	4
			18	10	19			
			12	5	14			
			14	2	14			
			5	7	8			
			10	3	14			
			6	2	14			
			3	12	6			
			12	10	3			
		12	10	13	14	1		
		20	1	14	13	14		

Znaczenie wyrazów: 1 Roślina. 2 Rzeka w Azyi. 3. Zwierzę. 4 Powieściopisarz polski. 5. Zgromadzenie ustawodawcze 6 Zwierzę 7. Kawał lodu 8. Postać z dramatu Ibsena. 9. Rzeka w Niemczech. 10. Owad 11. Imię żeńskie 12. Przyrząd sportowy. 13 Ptak. 14. Rzemieślnik. 15 Postać z Krzyżaków.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I żaba Adari żyje, gdy wół mruczy.

Logogryf.

Ułożył K Kowalski, Wiedeń

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko słynnego żeglarza portugalskiego z XVI wieku.

□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa portugalska. 2 Góra w Afryce. 3 Miasto w Styryi. 4. Wyspa koło Aten. 5. Miasto w Królestwie Polskiem 6 Dopływ Dunaju 7. Wyspa włoska. 8 Wyżyna w Afryce. 9. Miasto na Żmudzi.

Równanie.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego komedyopisarza, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{m}{2}+\frac{n}{2}+\frac{o}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Zwierzę leśne. b) Miasto we Włoszech. c) Autor „Szkoły". m) Metal szlachetny. n) Część głowy. o) Ssak latający.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a b b
b c d k
o o r r

Znaczenie wyrazów: 1. Okres czasu 2 Choroba sosen. 3. Przełożony juhasów. 4 Napój.

Zadanie konikowe.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

mnie	za	jew	pły	ry	ja
spła	wa	du	ry	ni	ną
siadł	ki	skich	sta	dzy	a
le	wy	je	by	ma	prze
ki	dnie	po	drze	goś	mię
z pnszcz	żem	mo	prem	dnie	że
nad	do	dem	a	wa	cin
z zbo	rzem	po	cem	z mio	po

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nikt nie otrnje Niemca Kezyny.

Bilety wizytowe.

Ułożył X Nilik, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

T. ZYTA KNORSKA

LEON PROT N. KSZYSKI

MARTA EFUCKA.

PIOTR ZENEK A WYRWA.

JAN E. AZODZKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 36.

Łamigłówka literacka:

Barbara Radziwiłłówna.
Lalka
Irydyon
Zemsta.
Ifigenia.
Noc listopadowa.
Stara ziemia.
Komedyantka
Ifigenia.
Jerzy Lubomirski.
Ogniem i mieczem.
Zabobonnik.
Elektra.
Filip z Konopi

Szarada: Kapusta.

Kwadrat magiczny:

D
N e y
g r o s z
D e o t y m a
g r y p a
ć m a
a

Logogryf:

F	i	r	l	e	t	k	a
E	l	e	o	n	o	r	a
L	e	g	u	m	i	n	a
I	n	ż	y	n	i	e	r
K	a	m	b	y	z	e	s
S	o	f	o	k	l	e	s
N	a	p	o	l	e	o	n
O	k	t	a	w	i	a	n
W	i	e	l	b	ł	ą	d
O	l	b	r	a	c	h	t
W	a	r	z	o	n	k	a
I	r	l	a	n	d	y	a
E	l	ż	b	i	e	t	a
J	a	s	z	c	z	u	r
S	z	c	z	u	p	a	k
K	a	l	l	i	o	p	e
I	s	l	a	n	d	y	a

Szarada: Starosta.

Okienko:

P l a t o
l d p
a d y g a
t g w
o p a w a

Zadanie do przestawienia: Przyganiał kocieł garnkowi, a sam smolił.

Bilety wizytowe: Pianistka. Pasztetnik Posterunkowy. Samarytanka. Konserwatorzysta.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń, M. Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K Doliński Kraków, Z Szymanek Nowy Sącz, L Doliński Lwów, S Zabłocki Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **p. A. Kosiński Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Powód rozpaczy.

— Bój się Boga, Stachu, czy może żona jest chora lub które z dzieci, że masz tak smutną minę?...

— O nie! Tylko, uważasz, właśnie przed chwilą powiedziała mi moja małżonka, że wkrótce mogę się spodziewać „radosnego" zdarzenia w rodzinie!

Powaga.

— Panie? Kto tu jest szefem? Ja, czy pan?...

— Pan, panie radco...

— W takim razie proszę podobnych idyotyzmów na drugi raz nie mówić!... *Od tego jestem tutaj ja!...*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego